



Jarosław  
Wojciechowski

PRZEBUDZENIE



Jarosław Wojciechowski

# Przebudzenie

Włocławek 2017

Redakcja i adiustacja:  
*dr Tomasz Dziki*

Konsultacja:  
*Henryk Rumiński*

Projekt okładki:  
*Artysta plastik – Roman Galiński*

Słowo wstępne:  
*Bożena Laskowska*

Copyright by:  
*Jarosław Wojciechowski*

Wydanie II rozszerzone

Wydawca  
EXPOL, P. Rybiński, J. Dąbek, sp.j.  
87-800 Włocławek, ul. Brzeska 4

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej książki nie może być zapisana czy przekazywana w sposób mechaniczny, elektroniczny lub foniczny i w jakiegokolwiek innej formie bez uprzedniej zgody autora.

Donatorzy:  
Miejskie Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej Spółka z o.o.  
ul. Płocka 30/32, 87-800 Włocławek  
Restauracja „Impresja”, Włocławek, ul. Bojańczyka 21

Skład, druk i oprawa:  
EXPOL, P. Rybiński, J. Dąbek, sp.j.  
ul. Brzeska 4, 87-800 Włocławek  
tel. 54 232-37-23, e-mail: sekretariat@expol.home.pl

ISBN 978-83-63080-08-2

Dedykuję:

*Mojemu Kochanemu wnuczкови  
Aleksandrowi Kamińskiemu*

**Serdeczne podziękowania za okazaną pomoc i życzliwość:**

- Panu Prezesowi Miejskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej we Włocławku Jackowi Kuźniewiczowi
- Marianowi Andrzejewskimu
- Czesławowi Piątkowi
- Jerzemu i Barbarze Lewandowskim
- Połowi Łukaszowi Zbonikowskiemu
- Włodzimierzowi Oborskiemu
- Teresie i Marcinowi Wojciechowskiemu

## Słowo wstępne

*„puszczałem najpierw do przodu pierwszą złapaną myśl,  
po czym podążałem za nią – trop w trop zbierając po drodze  
wszystko to, co do niej się przyczepiało...”*

Na początek rodzi się pytanie, co mają ze sobą wspólnego Włocławek, zjawiska paranormalne, demony i irytująca dziura w ziemi?

O czym jest nowa książka Jarka? Już po lekturze pierwszego rozdziału, czytelnik wpada w kontrolowany chaos fabuły. I wcale nie wyklucza się to, że jest to chaos poddany kontroli. Autor zachęca nas do poznania jego sposobu patrzenia na otaczającą go codzienność. Zaprasza do intymnego świata swoich myśli i przeżyć, miejsc, które lubi, problemów, które absorbują na chwilę jego uwagę. To takie skupisko luźnych uwag, inspiracji, przeczuć otaczających z pozoru zwykłego człowieka – homo familiaris, który co prawda nieźle w życiu się czuje, ale pozostaje mu pewna niecierpliwość, niedookreślenie, irytacja i kłujące, drażniące oczekiwanie na ... coś?

Narrator zabiera nas na wędrowkę po Włocławku. Pokazuje nam słodko-ironiczny portret ulubionych miejsc, dawkuje je nam, okraszając całą masą zaskakujących pół-spojrzeń i komentarzy o tym, co aktualnie przeżywa. Popada w skrajności od euforii po depresję, rzuca się w różnorodne klimaty.

Tańcząc przed nami, mamy kolejnymi maskami i odsłonami. A wszystko przesyczone mocnymi, zdecydowanymi akcentami opinii o świecie i ludziach tworzących mikroklimat miejsca, które nam autor portretuje z nieco złośliwą i gniewną swadą oraz wyraźną goryczą. Nie dystansuje się od tego miejsca. Jest jego integralną, niezaprzeczalną częścią.

Jest dla czytelnika niczym przewodnik, jednak zamiast kompetencji i wiedzy serwuje nam stan rozdygotanego oczekiwania. Przez całą fabułę towarzyszy mu silne pragnienie odkrycia, co go prześladowuje, co nie pozwala mu na spokojne korzystanie z chwili obecnej i co wreszcie narzuca mu konieczność uważnego obserwowania świata i stanów towarzyszących mu, wręcz łaskoczących skórę i przeczucia. Dlatego jesteśmy świadkami poważnych i nie-poważnych chwil w jego życiu, od rozmów o sensie i bezsensie egzystencji po strategiczne plany uśmiercenia irytującej muchy. Przeżywamy wzniosłe chwile wypełnione nieziemską muzyką, by nagle śledzić atak dzikiej, irracjonalnej czkawki. Kontrola i chaos w każdym możliwym wydaniu. Rodzi się pytanie, po co śledzić ten metafizyczny dygot bohatera w realnym świecie?

Być może po to, by odczytać wyraźne ostrzeżenie przed złem. Bohater w jasnym świetle pogodnego dnia doznaje przeblysków obcowania z ciemną stroną bytu. Mówi: „**zobaczyłem wypełzające demony ze wszystkich zakamarków ludzkiej istoty, o których aż do dzisiejszego dnia nie miałem pojęcia**”. To go stawia w stan gotowości, tylko, czego tu oczekiwać i kiedy nastąpi przebudzenie ze stanu podwyższonego zrozumienia spraw racjonalnie niejasnych?

Być może, dlatego, by popchnąć naszą z reguły skoncentrowaną na prozie i dosłowności wyobraźnię, by jej podsunąć wręcz



oniryczne wizje niezmiernego piękna, które przecież można dostrzec wokół nas. Widok motyli, „zrzucających ze swoich skrzydełek na ziemię kryształki”, adorujących bohatera w jednej z jego zaskakujących ucieczek od rzeczywistości, jest przecież zupełnie niezmierny, a jakże dla wrażliwej wyobraźni przejmujący.

A może, dlatego, bo „**czas najwyższy wyłożyć sprawy takie, jakie są one naprawdę**”? Tylko, co to, u licha znaczy? – chciałoby się w tym momencie nieco dziecinnie zapytać. Bohater próbuje, więc czytelnikowi właściwe rozwiązanie zasugerować, prowadząc go w dalsze części swojej nieco obłądno – kontrolowanej historii.

Nasz przewodnik spotyka na swej drodze mieszkankę typów i charakterów. Obok bezdomnego, świadków Jehowy, badacza zjawisk niewyjaśnionych, młodej samobójczyni i bandy trefni-siów chcących dostać się na salony – bo gdzieżby indziej. I Henryk – pasjonat od wpływu różnego rodzaju energii na człowieka i środowisko, który jeździ na bicyle. Janusz – artysta na nowo malujący świat. I wielu innych, których narrator spotyka w trakcie swojego spaceru ulicami Włocławka. Co ma z tym wszystkim wspólnego katastroficzna rozpadlina, która z jakiegoś zagadkowego powodu postanowiła pojawić się w centrum miasta i ujawnić prawdę starych pomników? I jakże to prawdę ujawnić? Ciąg pytań, które fabuła stawia, misterna wiązanka zagadek rodząca się w masie oszołomionych i sfrustrowanych mieszkańców z wyraźnie wydzielonymi z tego tłumu pozytywnie zakreconymi. Czy „skumulowana energia zaśpiewa we Włocławku”? I co to będzie za pieśń – tryumfu czy rozpacz?

Nagle zaczynamy uczestniczyć w jakiejś gigantycznej, zaczarowanej uroczystości. Skupienie, wyciszenie, powaga

i oczekiwanie. Bohater już dawno zarzucił pozory homo familiarusa, by stać się częścią nierozzerwalną tłumu, jednocześnie przekształcając się w jednostkę owładniętą obsesją poznania rozwiązania zagadki energii miasta. I wcale nie przeszkadza mu brzydki obraz tłumu, jego zakłamanie, prostactwo i wulgarność. Przelewa się to i kotłuje, nie mając pozornie wpływu na patos i podniosłość chwili skupienia przed katastrofą. Czy ona przyjdzie? Czy pochłonie?

A może wręcz przeciwnie, coś objawi!, i da hasło do rozpoczęcia wielkiego karnawału radości, szczęścia i wyzwolenia. Przyniesie nowe spojrzenie, nową wiarę, moralność, piękno. Jaka będzie ta katastrofa?

Gorzka to opowieść z momentami wiary, nadziei i piękna. Z podskórnym, wyraźnie wyczuwalnym, gniewnym oczekiwaniem na nowe, lepsze. Czy mieszkańcy miasta stojący nad brzegiem rozpadliny, którą do życia powołali, **przebudzą się**? A jeśli jakimś niezwykłym cudem tak, to, jacy?

*Bożena Laskowska*

Motto:

*A werbelki grają w gaju oliwnym  
dzisiejszego dnia usłyszałem je nad Wisłą  
– czyżby spektakl się zaczął?*

(autor: Jarosław Wojciechowski)

## Rozdział I

Moja żona Teresa dzisiejszego dnia zrobiła wyjątkowo większe zakupy. Ogarnęła mieszkanie, tak by wszystko w miarę leżało na swoim miejscu, bo dzień ten był wyjątkowo szczególny. Przyjeżdżał nasz syn Marcin. Zapowiedział swój przyjazd już jakiś czas temu dzwoniąc do mojej żony. Od kilku lat mieszka w Warszawie i tam też pracuje po ukończeniu studiów inżynierskich jako administrator sieci. Mój syn Marcin to młody i przystojny chłopak, znający kindersztubę mimo swojego ostrego charakteru. Bywa niekiedy szczery do bólu i bezkompromisowy, co tyle samo zjednuje mu przyjaciół, co oponentów. Mimo wszystko potrafi się pochylić nad rzeczywistą potrzebą drugiego człowieka nie oczekując poklasku. Muszę przyznać, że jego wygląd zewnętrzny nie budzi zastrzeżeń – dba o siebie i zawsze jest na czasie z aktualnymi trendami w modzie. Jedną ma szczególną cechę, która w jego twarzy głęboko się

wyryła – wrodzoną uczciwość i wstręt do kręactwa. Wszystko to razem sprawia, że przebywanie w jego towarzystwie jest nie tylko przyjemnością, ale i bezpieczną przystanią. Swoim nietuzinkowym sposobem bycia potrafi urzec albo rozłożyć na łopatki – do bólu. Na pewno, z kim jak, z kim, ale z Marcinem nie można się nudzić, bo komunikatywność „wyszał z mlekiem matki”. Za każdym razem ilekroć się u nas pojawia pozwalam sobie na otwartość i bezkompromisowe osądy rzeczywistości, w jakiej przyszło nam żyć. Nie zawsze zgadzamy się, jednak potrafimy w sposób spokojny i wyważony wyłożyć swoje racje, nie zmuszając się przy tym do ich bezwarunkowego przyjęcia. Przyznam, że przy moim dość impulsywnym sposobie bycia daję sobie doskonale ze mną radę. Tak, więc nie będzie grzechem, jeśli stwierdzę, że za każdym razem byłem i jestem zadowolony z jego odwiedzin. Po krótkiej i serdecznej ceremonii przywitania usiedliśmy w gościnnym pokoju a moja małżonka Teresa udała się do kuchni by zaparzyć kawę i dokończyć obiad. Tymczasem my jak zazwyczaj od razu przeszliśmy do rozmowy, a było o czym rozmawiać. Pierwszy zagaił Marcin:

– Widzę po tobie, że chcesz mi koniecznie o czymś opowiedzieć.

– A to widać – odpowiedziałem zaczepnie.

– Oczywiście!

– I owszem aż się palię! – odparłem z przekąsem.

Faktycznie, aż się paliłem by mojemu synowi niczym karabin maszynowy wszystko od razu powiedzieć. Oczywiście miałem świadomość tego, że tak od razu wszystkiego opowiedzieć po prostu się nie da, ale jednak „ktoś” wewnątrz mnie poganiał.

- Tylko spokojnie – skwitował Marcin.
- Nie martw się dam sobie radę.
- Tak myślę.
- No, ale cieszy mnie twoja wiara!
- To, co jest?
- Wiesz, niby nic szczególnego, ale ...

Nie dokończyłem, bo myśli mi się poplątały. Tymczasem Marcin uśmiechnął się jakby do mnie i nie do mnie i głęboko westchnąwszy zajrzał mi prosto w oczy. Jego spojrzenie było przenikliwe (przenicowało mnie do głębi), po czym lekkim skinięciem głowy dał mi znać, że mnie rozumie. Jego spokój pozwolił mi się wyluzować i ogarnąć przynajmniej na tyle bym bez dalszych kłopotów emocjonalnych „wyśpiewał” to, co mi w duszy gra.

- Widzisz Marcinku, jest jednak sprawa...
- Tak tato.
- Ostatnio miewam dziwne stany ducha.
- Niepokój się wkradł?
- Niezupełnie niepokój.
- Czyli?
- Prześladowuje mnie uczucie oczekiwania...

Marcin z wrażenia zrobił wielkie oczy i zdjął okulary przecierając je kilkakrotnie irchą, po czym chrząknął ze trzy razy a może więcej i zaniżając głos zapytał:

- Na co?
- I to jest najbardziej ciekawe, że tego nie wiem.
- To jest problem.

- Zapewne i to jak cholera, ale najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że gdzieś w głębi siebie wiem, o co chodzi (czuję to!)

– I co?

– No nic, pustka w głowie, która po prostu boli.

Gdy tylko to wyrzuciłem z siebie od razu poczułem się lepiej. Tymczasem Marcin cały czas przyglądał mi się bacznie skanując każdy mój grymas twarzy, który niewątpliwie pojawiał się, kiedy mu o tym mówiłem. Zapewne moje wyznanie go zaskoczyło, ponieważ znał mnie, jako człowieka raczej silnego, który zawsze sobie radę dawał ze swoimi emocjami. A tu coś takiego! Być może teraz zmienił o mnie zdanie – dokonał korekty, kto wie być może właśnie. W każdym bądź razie zanim odezwał się do mnie, zlustrował mnie najpierw od stóp do głowy, jakby po raz pierwszy mnie zobaczył, w końcu zapytał:

– Zamierzasz tak cierpieć w nieskończoność?

– Oczywiście, że nie – odparłem.

– To, co dalej?

– No, co? Tego nie wiem, dlatego o tym ci mówię.

– To może tak na początek uporządkujmy twój problem.

– O widzisz, to jest dobre.

– Tato mam pomysł!

– Jaki?

– Zaczynj swoje poszukiwania od momentu, kiedy to wszystko się zaczęło.

– A wiesz, że ty masz rację?

Pomysł wydawał mi się świetny, jednak zanim zabrałem się do niego zrobiłem najpierw głęboki wdech i wydech. Nie wiem, dlaczego, ale byłem głęboko przekonany, że właśnie w ten sposób mogłem tylko rozbroić swoją niemożność rozkodowania siebie. Przyznam, że to nie skończyło się tylko na jednym razie. Wielokrotnie robiłem głęboki wdech i wydech

aż pomyślałem sobie, że chyba odmawiam mantrę. Kiedy wydawało mi się, że już, już uda mi się zlokalizować mój niepokój i poznać jego oblicze nieoczekiwanie mój wzrok utkwiał na grafice wiszącej na ścianie. Dostałem ją jakiś czas temu od znajomego artysty (Zbigniewa Kresowatego) w dowód sympatii. Grafika przepięknie wykonana na czarnym kartonie zatopiona w białym passe-partout. Artysta przedstawia węża z kolorowymi łuskami, którego głowa oparta o czaszkę człowieka w kolorze zieleni, dumnie uniesiona do góry, gotowa jest do ataku na swoją upatrzoną ofiarę. Z czaszki wyrasta młode drzewko dopiero, co kiełkujące. Na głowie węża artysta umieścił pegaza w kolorze bladej czerwieni ze zmierzwioną grzywą gotowego do lotu. Im dłużej spoglądałem na nią tym coraz wyraźniej docierało do mnie, że scena przedstawiona przez artystę stanie się dla mnie jakąś nierozzerwalną częścią. A czego? – tego wówczas nie wiedziałem. Przyznam, że owa myśl była dla mnie – na tę chwilę niezrozumiała. Chcąc czy nie chcąc zaadoptowałem ją i kiedy rozeszła się w moim krwiobiegu nagle doznałem olśnienia, znalazłem to, od czego mam zacząć poszukiwanie. Marcin tymczasem nie przeszkadzał w moim odlocie, choć cały czas czułem, że bacznie mnie obserwował i zapewne czekał cierpliwie na mój powrót. Myślę, że tak właśnie było, bo mimo wszystko mój syn był w gruncie rzeczy człowiekiem taktownym i delikatnym. Zresztą byłem o tym święcie przekonany i nie sądzę abym się mylił (w końcu coś po mnie odziedziczył). W każdym razie jego cierpliwość pozwoliła mi się ogarnąć i pozbierać myśli.

– Więc tak, może zacznę od nietypowego spotkania – powiedziałem w końcu powoli.

– Czyli?

– Od spotkania z bezdomnym.

– No proszę?

– Bo widzisz Marcin czekałem któregoś dnia na autobus, a że długo się nie pojawiał usiadłem sobie na ławce, bo akurat była wolna. W międzyczasie, by sobie urozmaicić czekanie, spoglądałem od czasu do czasu w niebo. Moją uwagę przykuła śnieżno biała smuga, jaka ciągnęła się za samolotem – chyba wojskowym, od czasu do czasu zmieniająca swoją barwę. Wówczas przypomniałem sobie o różnego rodzaju wypisywanych w sieci internetowej informacjach...

– Jakich?

– Już mówię.

Piszą o rozpylanych dziwnych substancjach chemicznych, które mają podobno niekorzystny wpływ na organizm człowieka. Ile w tym prawdy tego nie wiem, ale kto wie?, może jest w tym coś na rzeczy zwarzywszy na zachowania, co niektórych ludzi i zbyt dużą umieralność na wszelkiego rodzaju choroby nowotworowe. Kiedy tak myślałem nad prawdziwością tych informacji przysiadł się do mnie bezdomny. Skąd wiedziałem, że to akurat bezdomny?, ano stąd, że sam mi po chwili o tym powiedział. Mimo swojej bezdomności wyglądał całkiem, całkiem – schludnie, a mimo to czuć było od niego to „coś”, co jest charakterystyczne dla tego rodzaju ludzi. Był krótko ostrzyżony, co prawda z kilkuniedniowym zarostem, który mimo wszystko nie raził a raczej kreował jego twarz na jakąś taką intrygującą... Ubrany był w ciuchy nienajgorsze, jednak na cały obraz jego wyglądu rzucał się cień – zionęło od niego nieprzetrawionym alkoholem. Nie powiem ażeby był specjalnie



namolny – no może na początku trochę: to chciał papierosa to znowu ognia, a za chwilę złotówkę, którą chce dołożyć do piwa – jak mi oświadczył. Przyznam, że jego szczerość rozczuliła mnie, więc dałem mu upragnioną złotówkę i jeszcze dorzuciłem dwa złote – a niech tam! Niech się cieszy – pomyślałem. Żeby sklamrować moje dobre uczynki dorzuciłem mu jeszcze kilka papierosów, by chłopina miał co zapalić w chwilach swoich szczególnych zgryzot przeżycia dzisiejszego dnia. Moja „szczodrość” najwyraźniej zachęciła go do rozmowy ze mną. Chcąc nie chcąc musiałem go wysłuchać – w końcu i tak czekałem na autobus, a poza tym ciekawy byłem, co też ten człowiek mi powie. Przyznam, że po pewnym czasie jego opowieść zaczęła mnie wkręcać. Odkryłem, że mówił całkiem składnie, nienajgorszą polszczyzną, z wyraźnymi oznakami odczytania, a do tego bardzo barwnie opowiadał. To wszystko razem sprawiło, że mimo jego „wady” (cuchnącego oddechu), dopuściłem go do swojego „konfesjonału”.

– To akurat tato mnie nie dziwi.

– Tak uważasz?

– Tak.

– No dobrze, ale przyznaję, że mnie na początku drażnił.

– A to, dlaczego?

– Bo zionęło od niego „wynalazkami” na kilometr.

– Jednak wytrzymałeś dzielnie?

– Tak – cicho odparłem.

– Dzielny ojczulek! – skwitował Marcin i poklepał mnie po ramieniu.

Po czym wstał i podszedł do okna przyglądając się gołębiom. Akurat teraz siedziały na krawędzi balustrady balkonu

wypatrując na parapecie okna okruchów chleba, które zazwyczaj im rozkładałem. Przypatrywał im się dobrą chwilę, sprawiając przy tym wrażenie jakby czekał, co też one powiedzą na ten temat. W końcu strzelił kilka razy palcami i bez słowa usiadł, a ja dalej kontynuowałem swoją opowieść.

– Na początku jak się dosiadł miałem nawet zamiar coś mu nieprzyjemnego powiedzieć, albo po prostu wstać i odejść. Jednak coś mnie od tego powstrzymywało, bo pomyślałem sobie – a co tam, niech już tak będzie. W pewnym momencie wpadł w dziwny amok – bo niby nie do mnie (cały czas patrzył gdzieś przed siebie) zaczął mówić o swojej rodzinie. Mówił z takim żalem w głosie, że przyznam szkoda mi się go zrobiło i tak po ludzku żal.

– No proszę!

– A jednak Marcin.

– No dobrze i co było dalej?

– Opowiadał, że zakład, w którym pracował całe swoje dorosłe życie szlag trafił.

– Wiele zakładów wówczas padało.

– I owszem, ale nie do końca normalnie.

– To prawda Tato!

– No dobra Marcin, ale ci dokończę.

– Kończ waść!

– Mimo, że zakład jego był w świetnej kondycji to jednak upadł. Podobno ktoś go kupił za wartość jednej linii technologicznej, po czym podzielił na części i sprzedał z niezłym zyskiem.

– No to tak to budowano polski kapitalizm! – skonkludował Marcin.